

Kraboszki

Ta historia, jak się wkrótce domyślicie, zakończyła się słodko i delikatnie. Leżeliśmy wśród łabędziego puchu, w ciepłych kołdrach, pod kocami w roślinne wzory i myślałyśmy o tym, że wiosna nadchodzi w najdziwniejszych momentach i przyjemnie się na nią czeka. W naszych głowach kwiecień trwał w najlepsze, ziemia budziła się do życia, wyrzucała z siebie mleczę, pokrzywy i polne bratki. Wypuszczała pąki. Za oknem nie martwił już listopad, po prostu zrzucał odzież i udawał się do norek w lesie, a było to naturalne oraz proste. Z pieca szło w górę miłe ciepło, na półkach stały przetwory z jabłek i kwaśnawej pigwy, smaczny zapas. O owocach mogłabym opowiadać długo, bo Matka dała mi dar rozprzestrzeniania takich opowieści.

Lecz zanim zostałyśmy wszystkie dziećmi Ziemi, krojącymi gruszkami i rozcierającymi w dłoniach miętę – lecz zanim, przez ten czas wcześniej nużący i długi, pełen rozpacz i niepewnych świtów – nic nikt nie wiedział. Zupełnie jakby kazano nam zapomnieć i jedynym wyjściem było zapadnięcie się w martwe światła Akademii, pod chemiczną poszewkę używanej pościeli, podartą i brudną, a także jakoś tak nieadekwatną do naszej tutaj roli.

Biel może istnieć barwą łóżek, lekarskich kitli, wacików, tabletek. Dawać niedobry sznyt umierania, sterylną błądź recept z literkami, nieco za małą, by odczytać, nabazgroloną ostrą kreską. Może też być kolędą z nieba. Bo przecież lubiłyśmy kolor biały. Lubiłyśmy cho-

dzić po śniegu, gdy skrzypiał pod nogami, dopiero co dostarczony, wysypany lekko – ziarno dla mrozu.

– Popatrz – powiedziałam do Loli, która dłużyła sobie w zębach. Jej włosy rozświetlał ogień kominka i wydawała mi się w tamtej chwili baśnią. – Popatrz, przez okno widać gwiazdy.

Błyszczały wyraźnie. Zima, łaskawa bogini, przynosiła je dla nas w wielkich koszach.

KSIĘGA WEJŚCIA

Najstarsza

Zakładam maskę i czekam. Przychodzą po dziewiątej wieczorem i od razu, bez ceregieli i powitań, siadają do stolika. W milczeniu jemy kolację, przerywaną pobieraniem tlenu. Nie jest smaczna. Bardzo marzną mi stopy, bo nikt nie zatkał szczeliny pod oknem. Nie udał się rodzinie ten miesiąc, wszyscy to wiemy, ale co było robić, patrzę na latarnie i słucham; tyle razy się pojawiali i nic, może tym razem coś powiedzą.

Nigdy wcześniej nie widziałam ich tak wyraźnie. Najstarszą poznałam już dawno, kiedy lekko pijana, z owocowym oddechem, nachylała się nad dziecięcym łóżkiem po każdych imieninach mamy. Z wiekiem wyostriżyła się i ukonkretniła, mogłam ją nawet rozpoznać po imieniu, nie tylko czuć zapach przetrawionej śliwy. Dzisiaj, w szpitalnej sali, jest tak wyraźna, że dotykam jej pomarszczonej ręki, którą kładę sobie na policzku. Porusza delikatnie palcami. W końcu zaczyna odpowiadać i na moje słabe uściski.

Wieczór trwa i zamienia się w noc, kroplówka kapie miarowo, pielęgniarka zdążyła wparować i ustawić sprzęt. Wyszła trzaskając drzwiami. Obserwuję, jak farba odłazi od ściany i spada w stronę parkietu, zatrzymując się na podłączeniu na tlen.

Najstarsza nagle odwróciła się i pokazuje oczy. Spojrzenie mówi wiele o tym, na co nie chcesz patrzeć. To dlatego tyle osób nosi okulary.

– Też chorowałam – wyznała nisko. Jej głos był chropawy, śliski,

przychodził gdzieś z piwnicy i odbijał się od wilgotnych ścian. Poprawiła spódnicę, odchrząknęła. – Tu schowałam swojego raka – wyjęła z torby szare pudełko, otworzyła je i wręczyła mi zdecydowanym ruchem. W puzderku leżał kamień. Ropiał. – Bardzo cię kocham – uśmiechnęła się smutno. – Teraz twoja kolej.

Podtrzymywanie

Pamiętam, kiedy mi przeskoczyło: stoję w polu, pośrodku osiedla, do zatoki i poniemieckich zabudowań idzie się może trzysta kroków, do linii tramwajowej – dziesięć, do sklepu – sto piętnaście. Powietrze jest słone. Wokół martwe badyle, za dnia, obok rozpadają się okna w blokach. Trwa grudzień, tylko jeszcze nie tamtego kruchego roku, wcześniej. Stoję przejęta widokiem wrony, która je ciastko – dużego żółtego eklera na środku ścieżki. Dziobie go nerwowo. Myślę sobie, że każdy potrzebuje spokoju przy posiłku, więc dam tego dnia wronie mój bezruch. I wiele więcej – pomimo niskich temperatur oraz brzydoty otoczenia – dam podziw i zachwyt, szacunek i miłość. Stoję nieporuszenie i patrzę, jak wrona pożera ciastko. Dziwię się, że tak sprawnie umie to zrobić, bo po minucie nie zostaje prawie nic, tylko kilka okruchów na rozmokłej ziemi.

I wtedy właśnie, w tym grudniowym zawieszeniu, pośrodku blokowiska, na skromnym skrawku reprezentującym świat przyrody, pośród mokrego śniegu i kikutów traw czuję, że mam w ciele zapadkę, która nagina się i zbliża niebezpiecznie do krawędzi ważnego organu. Nie umiem tego dobrze wytłumaczyć. Czasami wiecie po prostu, że coś się stało i jest inaczej, pomimo zewnętrznych symptomów porządku. Wewnątrz mnie spada coś ze schodków i boleśnie się tłucze, szklany szrot roznosi się po ciele. Robi mi się słabo, w górze latają mewy i tylko po nich i po kręgach, które zataczają wokół wyznaczonej przeze mnie osi widać, że to nadmorskie miasto.

Tego samego dnia zaczynam krwawić. Krwawię tak przez całe Boże Narodzenie, sylwestra, święto Trzech Króli, walentynki, przez ósmomarcowe święto kobiet, piękną Wielkanoc, z którą przyszła wiosna, i przez państwowe uroczystości majowe. I przez cały czas mniejszych i większych świąt pomiędzy zimą i wiosną, świąt pogańskich, poważnych, zdobnych w symboliki i użycie światła oraz lokalnych, pomorskich, obchodzonych w strojach ludowych. Uroczystości świeckich i religijnych. Małych świąt rodzinnych – urodzin, imienin. Krwawię przez cały kalendarz astrologiczny i księżycowy, przez dni parzyste i nieparzyste, płodne i niepłodne.

Ciemnobrunatne skrzepy krwi wypadają mi spomiędzy nóg jak śliwki mirabelki. Czasami pulsuję bardziej, gęściej, odrywa się ze mnie życie przy dźwiękach topielcowych. Potem przychodzą chwile, gdy czuję się rozpulchniona, lecz pusta, na chwilę się uspokaja, po czym pielgrzymka danych morfologii wraca jak przyptyw. Rozdrażniają sobie całe nogi, żeby ze mnie ta krew jasna w końcu wyszła – ale nie chce, tworzy własne koncepcje na życie pozaorganizmowe. Tworzy kościoły w ciele i wyznacza polne gaje, w których wierni zbierają się i odprawiają jakieś dziwne rytuały związane ze mną, z moim tutaj byciem, bez pytania mnie o zdanie. Krew chowa się po przeróżnych zakątkach organizmu, przy wątrobie ma punkt zborny i w okienku serca; wciąż jest jej tyle, że nie zna miary, wciąż wypływa jak smutna opowieść z ust porzuconej tkaczki i nie chce przestać, choć już wszyscy poszli.

A ja znoszę dzielnie ten czelendź, słabnę, ale wciąż nie całkiem. Czepiam się terapii hormonalnych, ale chudnę, marnieję. Daję radę i utrzymuję, że bez glutenu, bez laktozy, bez większych i bardziej energicznych oznak życia da się egzystować i jest to nadal całkiem fajne, tak jak było poprzednio.

– Masz suchot duży – mówi w końcu matka. – Przy kaszlu rosół weź, rosół zjedz.

Wychodzę z ich domu i udaję, że nie obchodzi mnie oddech mój powszedni, ale zupa była pyszna i z winą przyznaję, że tęskniłam do niej przez długie lata, gdy nie jadłam mięsa. Ojciec na pierwszy raz kupił kaczkę i płakałam nad jej ciałem wiele minut, zanim zanurzyliśmy zwłoki w wodzie, wsypaliśmy ziele angielskie oraz liść laurowy. I gruszki oraz anyż, bo to przepis chiński. I potem długo czekaliśmy, nim dojrzeje w garnku.

Mam czterdzieści lat i staję się z powrotem drapieżnikiem, a ta obawa, że urosną mi szpony i twardy dziób, dojrzeza w przerażeniu jak owoc czarnej truskawki.

Lecz jednocześnie wiem, że będę wtedy krążyć nad portowym miastem i żywić się krwią mniejszych zwierząt. Moje przetrwanie, tak kruche i zwyczajnie nieznosne do tej pory, może się wreszcie zamienić w górny lot. Przemieniam się w rybołowa i rozpoznawać mnie zaczyna świat, ale boję się tego jak wróbelek. W kuchni gotuje się już wywar ze śmierci, pachnie klejem z lęków i zostawionych lata temu marzeń.

Trwa to pichcenie, zgodnie z przepisem starożytnej sztuki pięciu przemian, chyba z półtora roku.

Mam czterdzieści lat i historia mojego życia się kończy. Dźwigam ramiona okolicznych mężczyzn, którzy beze mnie umierają i jest im smutno w życiu. Umiem to wszystko udźwignąć jak worek z wapnem. W Roku Węża znajdę męża – wybrzmiewa wewnętrzny slogan reklamowy, miły azymut na koleje życia, ale dworca nie ma, żeby stąd wyjechać.

– No teraz to już chyba pozamiatane – mówi matka.

Mam czterdzieści lat i dzieci urodziłam tylko w wierszach.

W przerwach, gdy gar bulgocze w wielogodzinnym czuwaniu, chodzę po mieście i podtrzymuję mury miejskie. Biegną wzdłuż wybrzeża, trochę niewidoczne właściwie, odgradzają złe od dobrego i dobre od złego. Pną się w bluszczu nad rzeką i ze ścieżką rowerową roznoszą się do innych dzielnic. Pilnuję, żeby go nie zburzyli. Co

wieczór idę po tej brukowanej nocy miasta i przeganiam niszczy-
cieli. Nastają nań pijacy, złodzieje i rozpustnicy, w mgnieniach nocy
zajmujący się rozbojem barbarzyńcy. Mam włócznie i naramienniki,
złocisty hełm, który oklejam taśmą z Lidla, żeby nie walił światłem
w mroku jak idiota. Udaje mi się łapać tych niedobrych obcych, zgar-
niam ich jak śmieci na szufelkę i wysyłam w paczkach gdzieś do
Ameryki, żeby nie psocili przy tym poważnym zadaniu rozdzielania
trosk.

I bardzo się męczę tym ciągłym pilnowaniem, bo sama, wierzcie
mi: jako jedyna, podtrzymuję okoliczne kamienice, czteropiętrowe
czasem i bez windy, za to z drewnianymi schodami, zwieńczone
u szczytu metalową rzeźbą. Z kielnią w ręku (co prawda różową
i w kwiaty, najprawdopodobniej fiołki) naprawiam te ubytki w mu-
rze, które gdzieś przypadkowo osunęły się na ziemię, zdobię fasady
jakimś miłym wzorkiem, wbijam gwoźdźniki w oderwaną deskę.

Dużo zrobiłam też, by nie zbudowali kładki łączącej wyspę z brze-
giem, to miały być po wieki wieków osobne rzeczy, różne sprawy.

Rodzanice

Czekają na mnie w zaułku przy kościele, mają gołe nogi. Są brudne i nie czeszą się od tysiąca lat. Przyniosłam im rzeczy na zmianę.

– Mamy tu biznes do zrobienia – wspomina ta, która wygląda najczyściej. Patrzy na mnie okiem zza gęstej grzywy, pozlepianej skrawkami czasu jak lakierem Loreala. Rytmicznie klepie bosą stopą w bruk. Rytm ten daje do zrozumienia, że najpierw załatwię im miejsce, gdzie mogą się trochę ogarnąć, potem powiedzą, co mam robić.

Zaprowadzam je do najbliższej knajpy. Wchodzą rządkiem, nieśpiesznie i oczywiście zwracają na siebie uwagę. Łachmany i nieobcięte paznokcie zawsze zadziałają, ale nie to najbardziej ciekawi zebranych ludzi. Od sióstr pachnie czymś bardzo starym. I nie jest to zapach brzydkości czy nieznośny, tak pachną po prostu ciche wnętrza ukryte w starych kamienicach, dalekie rejony lasu porośnięte gęsto trawą, muliste miejsca w jeziorze, do których nie dochodzi światło.

– Ja płacę – mówię barmanowi, kaszlę i zamawiam cztery wódki z lodem. Spojrzał beznamiętnie, ale wyjmuję szkło i przeciera ladę, nie takie rzeczy widział w knajpach około północy.

Kiedy wychodzą z kibla, przypominają już młode kobiety – nadal nieco dziwne, jakby z teatru ulicznego czy pracowni malarskiej – ale panny, nie strzygi. Są nawet ładne, gdy uładziły włosy i założyły sukienki z dzianiny. Wiedziałam, że lubiły dzianinę, dotykały jej z podziwem, sprawdzały wątek i osnowę, przejeżdżały palcami po

miękkiej fakturze, wachały, szczypały, oglądały ze wszystkich stron kolor. Cieszyły się nią jak koty, jakby miała w środku włóczkomietkę.

Zasiadają kolejno na stołkach i przeczesują grzywki. Z zaplecza wydobywają się dźwięki mytych pokali. Barman nalewa czystą.

– Sprawa jest taka – odzywa się ponownie ta z posklejaną grzywką. – Właściwie na to, co powiem, nigdy nikt nie jest przygotowany, a o sposobach zaskoczenia ludzkiego można by napisać osobną księgę. Ludzie mają mylne poczucie, że coś od nich zależy. Owszem, mogą ustalić sposób patrzenia na to, co wcześniej wymyślone, ale nie wygra się w tej grze nigdy, bo to gra hazardowa, grana na rynku w południe pośród tłumu i gwaru, pośród jazgotu myśli ludzkich. Tu zawsze rozejdą się ścieżki w dziwne strony, zboczy się w zaułek i już z niego nie wyjdzie albo pójdzie za kotem i dojdzie do fontanny w innym kwartale i nie pochwyci wątku, który zaprowadzi tam, gdzie wszyscy powinni podejść, wszystkie pobiec, a który prowadzi drogą do morza.

Chwyta kieliszek i przechyla go jednym ruchem. Marszczy usta.

– Sprawa jest zdecydowanie delikatna, ponieważ to – zrobiła pauzę – ponieważ to już naprawdę koniec.

Z delikatnością podnoszącego się po deszczu kwiatu ociera usta, po czym wyjmuje z torby podróżnej złożone na cztery części płótno. Oraz nożyczki.

– To wszystko, co mogliśmy zrobić. Popruło ci się konkretnie tym razem – macha głową i wręcza mi lnianą szmatkę. – Wszystko, co się tobie wydarzyło, jest już wydarzone, zamknięte, nie bardzo wiem, co więcej utkać, możemy się razem w imię wieloletniej znajomości napić, ale to raczej tyle na ten temat. Możesz się odwołać do jakiejś wyższej instancji, tylko że najwyższą instancją, którą znamy, jesteśmy my same. Umiemy precyzyjnie stworzyć wszystko na tym świecie, umiemy i zniszczyć. Przerywamy opowieści w dowolnie wybranym miejscu, decydujemy o ważnych i błahych sprawach, choć się ludziom wydaje, że sami wybierają swój los. Nie

ma formalnie nikogo, kto potrafi odwrócić bieg rzeczy. Pij, bo zostało mało świtów, choć jeszcze tego nie rozumiesz i kłócisz się z gościem w barze o wydanie reszty. Dzięki, że dałaś nam się umyć, będzie to zapamiętane i bardzo docenione, z tym że nie teraz, nie tutaj, nie w obecnej sytuacji. Rozumiesz powagę tego orzeczenia? – pyta.

– No nie wiem – mówię – nie wydaje mi się. – Patrzę w kieliszek.

– No właśnie – przytakuje trzecia – to jest trudne tak nagle. Zwykle nam się po tym petenci trochę upijają – dodaje i rzeczywiście czuję już w żyłach łaskotanie żytniej. Jeszcze przez chwilę patrzę na trzecią na barowym stołku, pozostałe dwie sączą alkohol bez jakiejś specjalnej ekscytacji. Zamykam powieki i przez chwilę wędruję po wnętrzu wewnątrz. Gdy przywracam wzrok na moją miłą knajpę, wszystkie trzy siedzą już przy młodym mężczyźnie. Jakby wcale mnie nie znały – adorują gęstą sierść blezera na zmianę z dyndającą za nim makatką z Bułgarii.